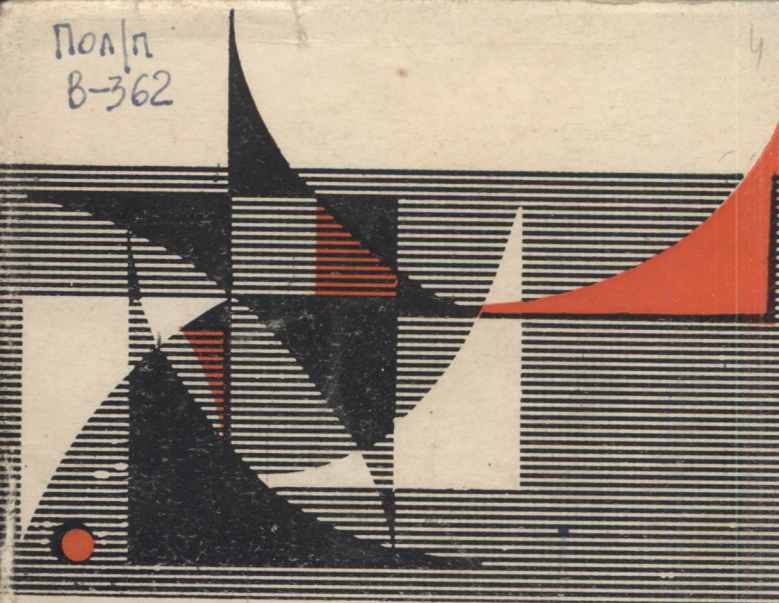


Пол/п
В-362



MYKOŁA BAŻAN

rozmowa serc

WIERSTY WYBRANE



Пол/п
В-362



MYKOŁA BAŻAN

Rozmowa serc

WIERSTY WYBRANE



B A Ź A N

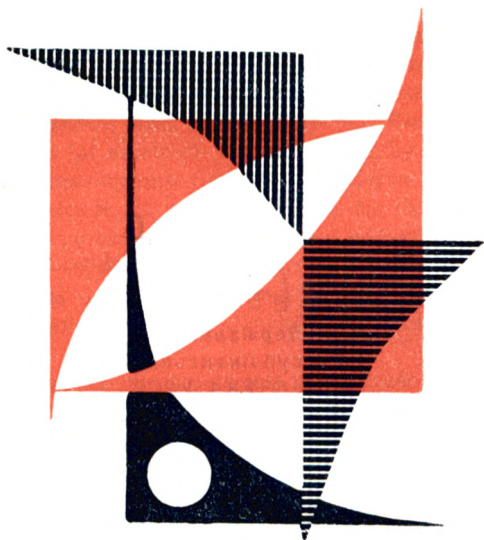
Rozmowa serc

wiersze wybrane

MYKOŁA BAŻAN

rozmowa serc

W I E R S Z E W Y B R A N E



WYBRAŁ
ANATOL STERN

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Obwolutę, okładkę i stronę tytułową
projektowała

DANUTA STASZEWSKA

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1967 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 1000+265 egz. Ark. wyd. 1,5 Ark. druk. 3

Papier m./gł. kl. III, 70 g. format 74×90 cm

Z Fabryki Papieru w Kluczach

Oddano do składania 22. II. 1967 r.

Podpisano do druku we wrześniu 1967 r.

Druk ukończono w październiku 1967 r.

Koszalińskie Zakłady Graficzne w Koszalinie,

ul. A. Lampego 18/20 D-215 — W-5

Cena zł 10,—

Urodzony w roku 1904 w Kamieńcu Podolskim, Mykoła Bażan już od młodości usiłował dać w swej liryce odpowiedź na trudne pytania historii swego narodu. Książki jego, poczynając od buntowniczego debiutu (*17 patrol*), poprzez pełne głębokiej zadumy utwory lat dwudziestych *Budowle*, *Rozmowa serc*, *Hoffmanowa noc*, aż po *Ślepców*, *Nieśmiertelność* i dzieła lat ostatnich tworzą jak gdyby wielką epopeję romantyczno-filozoficzną dziejów jego ojczyzny. Polot myśli poetyckiej łączy się tu z namietnością człowieka walki, odkrywcze widzenie rzeczywistości — z mistrzostwem formy. Wraz z Maksymem Rylskim i Pawło Tyczyną należy Mykoła Bażan do poetyckiej trójcy klasyków współczesnej Ukrainy.

Ten poeta-humanista jest równocześnie wybitnym działaczem społecznym, płomiennym patriotą, który w czasie wojny z hitleryzmem dał niezapomniane strony *Przysięgi* i *Zeszytu stalingradzkiego*. Jest przy tym uczonym o niezwyklej erudycji i kulturze

Entuzjasta naszej poezji, Bażan urzekająco przełożył m. in. *Fantazego* Słowackiego. Jednakże szczególną naszą wdzięczność zaskarbił sobie prawdziwie natchnionym poematem *Mickiewicz w Odessie*, który stał się trwałą więzią pomiędzy kulturami obu naszych narodów.

A. S.

PAPROĆ

Jak stare sny ta biała piana chmur
I księżyc białooki jak karp stary.
I widzę dziś: pogańskiej nocy czary
W nieznanym drzeniu biorą czarny bór.

Północą z ofiar bije dymu sznur.
Na zgrzebnym płótnie niesie hojne dary —
Sery soczyste, miodów ciężkich czary —
Swym niemym bogom ofiarników chór.

Pogańska noc ukryty budzi cud.
Dzierzgana mgła z jeziornych wstaje wód.
Zapach paproci budzi się trujący.

I korowodem płynie w rosy chłód
Na majdan z sioła młodociany lud.
Słowiańskich zielnych pól niezapomniane
[pląsy.

1926

Stanisław Jerzy Lec

KREW W JASYR WZIĘTYCH

Koń kosmaty kopytem rwie spętana wolę,
Na dnie drażonych konwi mętny ferment znaczy
Pianą scukrzone mleko rozpalonych klaczy
I wonie dyszą gęste dzikością i solą.
Wojactwo martwym snem się pospołu pospało
I nieruchome zwarło się na twardej ziemi,
Stłoczone pod wojłoków płatami buremi
Jak jedno lwa płowego muskularne ciało.

Do dołu się skłaniają krzewy pełne liściem
I dym jak prosta struna stropu nieba sięga,
Szarpiać rzadkich obłoków stargane siermięgi,
A piersi kobiet drgają niby kwiatów kiście.
Dobłą wilgocią zlane, potem płodonośnym
Zroszone leżą ciała ukraińskich branek.
Usta jak krwawe rany. A gdy przyjdzie ranek
W ich łonach jadowity płód mongolski wejdzie.

Przeminą całe lata, odwieczne otawy,
W sajdakach dawnych stleją serc i pragnień strzały,
Ale krew mocna, w długich stuleciach zastała,
W sękatych guzłach mięśni te sprawy przechowa.
I pokochamy słowa ciężkie jak dym ostry
Watr złowieszczych, co niegdyś tlały dla Tatarów,

Słowa, co wstaną z dawnych warów i oparów,
Jak tamten step szeroki — królestwo
[bezmiarów —
Które przyjmiemy sercem okrągłym i prostym.

1927

Jarosław Iwaszkiewicz

SŁOWO O PUŁKU

Spienione konie, tęgie konie
Rwały zaprzęgi, pręgi szlej,
Z wysiłkiem wlokły tępe bronie,
Baterię armat. A w ślad niej,
W ślad wojsk, co mogły ujść pogoni,
Sklejał się mroku mglisty lej.
Krok ludzi, koni we mgle mdłej
Toczył się w zwartym eskadronie.
Żołnierz pomyślał sobie: „Ej,
Czy nie obrócić jeszcze koni
W ataku

— na bezdennym łąnie,
W mgłach galicyjskiej nocy tej.
Był to czas klęski. W ariergardzie
Schylona śmierć, podając dłoń
Tu ległym rannym, niosła zgon
Tym, co na warcie, marnej warcie,
Szlaku znaczącym się na karcie
Wiecznych pochodów, wrogich stron.
Zdeptały pułki martwy plon,
Sóldackie oczy gasły martwe,
Jak pień, co z orbit rwany, padł,
Żeby się tęsknie wpatrzeć w ślad

ROZMOWA SERC

(fragment poematu)

Rozdygotana w febrze słońca,
Jesienna noc i czarny pomnik.
Na placów się kwadratach miota
Człowiek i jego cień ogromny.
Idą. We dwójkę. Nie przystaną.
Przejęci, pewni są głęboko,
Że im chodnika arkusz dano,
Gdzie wolno stawiać

kropki twardych

[kroków

I kropek nie bać się nad własnym „I”.
Pisać dla siebie, sobie ogłaszając wyrok,
W brudnej kopercie

brudnych wyrek

Świadectwo ukrywając zbiegłych dni.
W płaskiej, śmierdzącej tej kopercie
Ukryte słowa przerażenia, mąk,
Pani Wieczności, szanownej Pani Śmierci
Adresowane do ich własnych rąk.
Tam leżą kartki.

Spis istot wzgardzonych.

Nad miastem dygot słońcy mglisty

I rozbiegają się na wszystkie strony
Jak linie przedśmiertnego listu.
Ja również idę.

I już jestem w domu:
Oto Kreszczatik, sprawdzam numer.
Tu się zatrzymam. Nie znana nikomu
Wstępuje postać

i niknie za murem.
Na schodach cuchnie mocz i pleśń,
I kupy mroku gniją w kącie,
Ja muszę na ramionach nieść
Łeb ciężki — lampę filującą,
I serca mego strzęp wyżęty,
I uderzone moje ciało —
Nade mną płyną dymów strzępy
Niby katafalk oszalały.
Na nim w milczeniu i bez ruchu
Spoczywa trumna z mym zewłokiem
I ostro rozdzierają kroki
Ciszę sączącą mi się koło ucha.
Zamknięte wszystkie drzwi.

Firanki opuszczone.
W skrzynię wtłoczono spokój, ciszę,
Na sznurku pęcherz się kołysze
Klepsydry, rzadkim światłem napełnionej.

Właśnie po schodach ktoś tam przeszedł,
Bo słyszę astmatyczny oddech,
Szuranie, lekki szmer podeszew
I szeleszczącą o mur odzież.
Pewno to jakiś pijanica,
Nikt inny nocą nie mógłby tu zostać —
I naraz z dołu, od piwnicy,
Wychodzi jakaś ciemna postać,
I widzę jakiś zarys blady,

Przejrzyste, mgławicowe ciało,
A poprzez mglistość — balustradę
I poręcz schodów zardzewiała.

1927

Seweryn Pollak

Żelazem,
ogniem,
olejami,
krwią spowito
Złowieszczą powieść o katedrze,
Jak ciżb w udręce postrączanych w głąb
W zgrzytaniu zębów
i zgrzycie kamieni,
Jak śpiew śmiertelny,
zew złowieszczych trąb,
Ażeby zagrmieć wśród płomieni,
Katedra wzniosła się dla chwały feodała,
Jaskinia wiary,
rój odpustów —
I na padoły placów pustych
Dźwięki jej dzwonów z wolna pospadały,
Ni to spiżowy krok,
spiżowy krok ofiary.
W wyschłych dłoniach wyznawców katolickiej
[wiary
Tak chrobocą różańce z wonnego sandału.
Beztrosko nie szli,
gdy wzywały dzwony,
Króle, książęta słudzy i trefnisie psotni;
Rozwarła się katedra,
ni to stygmat słodki,
Bezwolnej ziemi opuszczonej.
Padały
i wspinały się aż pod sklepienia
Ciała bez rąk i ręce od ciała odjęte;
Usta na wpół rozwarte grymasem cierpienia
W stoki kamiennych ścian wżerały się lamentem.
I leciała jak wątła strzała pod obłoki,
Jak rąk wyziebłych stożkowaty snop,

Natchniona nawa katedry, po strop
Pogrążona w śnie fanatycznym i głębokim.

W pochmurnej zawierusze lata szły bez przerwy,
Ale nie gasły, by znów rozsiać błyski
Mnóstwem zaciekłych płomieni gotyckich
Na wyszczerbionych mieczach i kosach Żakerii,
Bo wzniosła się katedra — łapczywy gnębiciel
Na stosach błagań i stosach anatem,
Gotycka koniczyna rozkwitła trójliściem
Jak krzyż, jak sen, jak psalmy, symbolicznym
[kwiatem.

1928

Jerzy Zagórski

NOCNY REJS

Unosi się ręka od niechcenia,
Pióro nadszczerbione gnie się niby szpada
I złamany w brulionowych pokreśleniach
Jak maszt wyniosły, wiersz znienacka pada.
Lecz oto nagle nadął żagle strof wezbranych,
Skrzypiąc linami drucianymi liter,
Wicher
Katastrof wyszukanych.

Podróże, natchnienia — szukasz ich boleśnie;
Któż zna większe wśród upojeń świata?
Niech stanie dęba patetyczna fregata,
Fregata twoich patetycznych pieśni.
Wstrząsana sztormem w tej nocy wzburzonej,
W chwili gdy jej cały ocean zagraża,
Wie dobrze, że były jej sądzone,
Że jej właśnie były przeznaczone
Zuchwałe wędrówki marynarza.

Równy się wije
Po morzach ślad:
Żeglarskie linie,
Szramy od szpad.

Pada z pirackiej, czarnej fregaty
Cień — nienawistny, zły i skrzydlaty.

Przez mórz obłudnych przepływa nurty
Ponuro pędzi wzdłuż ciemnej burty
Rozległy wicher żołnierzy
I ludzi śmiałych wiatr
Krzyczący jak albatros wśród lin.
Pręży się łukiem arbaletu —
Jest surowy, mroczny, chropawy —
Na nożu korsarza plamy rdzawe.

Więc rąb łańcuchy,
Zerwij się z lin.
Nie w kałamąrzu znajdziesz burz podmuchy.
Wysoką gwiazdą przyświeca ci czyn —
I gdy rozlegnie się śmiertelny alarm,
Twój kompas —
Twe serce
Wskaże ci drogę na spienionych falach.

1929

Józef Czechowicz (strofa 3, 4)

Anatol Stern (strofa 1, 2, 5)

T A N I E C

Jak jest harmonia — niech harmonia.
Choć ty, harmonio, ty.
O dobry młody ogniu, płóń nam,
leć w górę, miotaj skry.
A trzeźwy mróz to gra radosna:
choć trzeźwy, durzy nas.
Płomieniu młody, kwitnij wiosną,
rwij w górę, twój to czas.
Do gry rok wstaje urodziwy
i pali trzeźwy mróz,
i słyhać — dźwięczą srebrodziwy
wichury, chmur i brzóz.
Mężczyzna w tańcu toczy koło,
odpowie kobiet krąg.
I urodziwy, i wesoły
w lat setkach stoi rok
Układa kładąc się na dłoni
kryształek — śnieżny pył.
A ty jak wiatr w ten dźwięk harmonii,
płomieniu — z całych sił.
Tak, w roku tym na śnieżnej ścieżce
paliłeś tak, jak setki lat
nie kwitłeś, nie paliłeś jeszcze
idących przez ten świat.

Z młodymi dziadek siwy kroczy
i każdy z mrozu drwi.
Do sadów idź, w ten śnieg uroczy,
triumfująca krwi!
W lód skrzący się obcasem walić,
na setki tłuc go skier!
To po raz pierwszy tak się pali
krew śmiała w głębi serc!
Tyś ciało, krew. I tyś natchnieniem,
świat zwali skok twój lwi.
W stuleciach brzmisz jak serca drżenie,
olśniewająca krwi.
Ojciec i matka, całe plemię,
co się do walki śmiało rwie —
narodzie! Spójrz, to twoja ziemia,
a na niej wszystko tve.
Jedną rodziną bądź światową,
s্তুusty tłum, sturęki lud.
Twój trud, twój lot, twój ład, tve słowo
i święta tego cud.

1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

NA RUINACH W KUTAI SI

Rozpiąwszy żyłki po blokach na grani,
Sieci spiczastych niby ptaków kości,
Wyschnięty bluszcz się żądnie wczepił w granit,
Chwytny jak oset w groźnej łapczywości.
Ale spod sieci żrącej i pachnącej
Wybłyska kamień, potężny i żywy —
Nie wzruszą głazu ni podziemne wstrząsy,
Ni bicze błysków, ni wichru porywy.
To budowniczy z niecodzienną wprawą
Próg o próg oparł i mur złączył z murem,
Wzniósł nad skałami gmach nad miejską wrzawą,
Nad ludzi rojnym, rozdzwonionym chórem.
Gmach zlał się z niebem, przebity promieniem
Imeretyńskich jasnoświeatnych czasów,
I z ziemią zlał się — wykutym sklepieniem
Wieńcząc pagórka malowniczy masyw.
Nieposkromiona budowa z otchłani
Do muru wielki przerzuciła wiadukt,
Co w pałąk wygiął się za jej plecami,
Jak łuk rycerski w kiściach winogradu.
A wiadukt nie drgnął, gdy zwisły zeń grona,
Gdy ruszył kwiatów kamiennych prąd wartki
I mknął po jego wysokich ramionach,
Po lekkich łukach jednej, drugiej arki.

Winograd, który dojrzał w łonie głazu,
Wspiął się po słupach, które wzwyż strzeliły,
Skrył kapitele kolumn i od razu
Ożywił głuche i milczące bryły.
Rozkwitł zwisając piersiami ciężkimi
I nabrzmiałymi nad płaszczyzną bloku;
Zda się, że ciepło dyszy między nimi,
Że zachowało się w jaskiniach mroku.
Tak owoc ziemi upiększył budowę
Girlandą ciepła i życia łańcuchem,
Karbowanego okucia listowiem
W krąg ją opasał pieśczętliwym ruchem.
Brzemie owoców i granatu gałąź,
Kwiaty i kiście, pyszny liść akantu —
To rzeźbiarz rzucił swą dłonią zuchwałą
W gigantów czarę szczodry plon gigantów.
A kamieniarze — raby, czarodzieje —
Przynieśli tutaj w pasji wiecznie młodej
Wyrosłe z marzeń, granitu i dziejów
Płody jak czasie i czasie jak płody.
Taka w nich była życiodajna siła,
Nienasycenie i mistrzowska dzielność,
Że te owoce z głazem połączyła,
W kamiennej śmierci tworząc nieśmiertelność.
Jakimż był mistrzem ten człowiek w kajdanach,
Kopacz, kamieniarz o rękach artysty,
W twórczych pragnieniach tak nieokiełznany,
Że natchnął życiem nawet głaz ojczysty!
I czym jest dziś od lat niezapłodniona
Skała dla ludu — wielkich gór włodarza?
Ona zdołała nawet śmierć pokonać,
Dziś jeszcze życiem i myślą obdarza.

1937

Leopold Lewin

T A N C E R K A

Błysnęła wokół złotem piana mych jedwabi
I jak języki ognia podrzucone ręce,
I opadają znowu drżące, coraz słabiej,
I bęben bije prędko, ja razem z nim dźwięczę.

Rytm czasów słyszę. Oto kobieta z Egiptu
W rozcięciu księżycowym moich oczu żyje.
Mój barwny strój podobny jest do manuskryptu,
Na którym się kapryśnie wiersz Hafiza wiję.

Ryk bębna niby zew daleki Chorezmczyka
Już milknie, już wypełnił mnie po brzegi,
Czekam. A tu znów rośnie długiich trąb muzyka
Jak zwiastun burzy — wiatr, jak sennych fal
szeregi.

Pod drzewem dźwięków tych, trąbami zasłonięta,
Pomykam, płynę, drzę i barwnym ogniem płonę,
O, paść i skoczyć wzwyż jak płomień nieulekła!
Kobiety dzieje to! Ach, sadr* niewysłowiony!

Ja dobrze znam podstępny i skryte zwyczaje
Pramatek mych w ich bólu niemym i tęsknotach.

Tak samo kiedyś dla nich kornaje ** ryczały,
Tak samo bęczen dla nich do tańca się miotał.

I one żyją we mnie, znane i posłuszne.
I chytre wciąż są jeszcze, choć je pył już pokrył.
To one idą do mnie z Sahdiany dusznej,
Z glinianej żółtej Chiwy i Fergany mokrej.

I widzę ciała ich i włos ich rozwichrzony,
Ich wyszukany gest, odwieczność ich uroku,
I dobrze znam je wszystkie — niewolnice, żony
Wśród czterech ścian haremu zamknięte
[w półmroku.

I całą wiedzę swą i sztukę, i dojrzałość
Wcieliłam w taniec dziś i ciałem swym opiewam
Szczęśliwą miłość, pracę, honor, trud i śmiałość,
I ludzi mej ojczyzny, mocnych tak jak drzewa.

Wysoki, triumfalny dźwięk kornaja wreszcie
Wieńczy mój taniec pędu, życia i urody.
Tak ja, tancerka, głoszę swego kraju szczęście,
Kobiety dzieje to. I pieśń to duszy młodej.

1938

Kazimierz Andrzej Jaworski

* S a d r — nazwa tańca, dosłownie „wirowanie”.

** K o r n a j — uzbecki instrument ludowy.

PRZECZUCIE BURZY

Rozpostarł się chmury kłębiący się ogrom
I zakrył pół nieba. I cisza się wzmogła,
A chmura wciąż rosła, kosmata i obła,
Siniejąc jak ciemny fiolet winogron.

A w miarę jak stygła, wyłaniał się z osłon
Jej plon, ciężkie brzemie wezbrane ponuro,
I krople pęczniały sycące się chmurą,
By spaść, kiedy ona osiągnie nieboskłon.

Już burza nadciąga. Przetoczy się grzmotem
I ciszę przeszyje. W milczącej pomroce
Jedynie jaskółka skrzydłami łopoce
I w cieniu ogrodu błysk kreśli swym lotem.

Już trudniej oddychać i niczym cięciwa
Napięte przed burzą jest serce człowieka,
A wzrok z niepokojem w głąb nieba ucieka
Jak ptak, który nagle do lotu się zrywa.

Przyjazna dłoń ludzka przyniesie otuchę,
Gdy z hukiem rozewrze się chmura pęknięta
I gromów dudnienie przetoczy się głuche,
By ziemię pograżyć w błyskawic odmętach.

I niebo poblednie ogniście i gniewnie,
A ludzie w cichości wzrok wzniosą ku górze,
By sercem otwartym zanurzyć się w burzę
I móc nią oddychać tak lekko i pewnie.

1940

Jan Brzechwa

WICHER ZE WSCHODU

Żelaza i dymu, i krwi, i kurzawy
Stłumioną woń niesiesz, o wicherze ze wschodu.
Przybywaj, walk świadku, nad stepem leć
[krwawym
Do ziemi ojczystej, do mego narodu!

Nad Sułą dmij w surmy, U Dniepru grzmij
[w rogi,

Mknij poprzez dalekie, błękitne Karpaty
I przynieś narodom krzyk bojów złowrogich,
I zwiastuj zwycięstwo, i wieść dzień zapłaty!

Podmuchem gorącym dziś rozpal w nich serce
I natchnij, przepełnij je gniewem bez granic;
Niech siły stokrotne poczują znękaną —
Dni pożóg, dni cierpień nie wrócą już więcej.

Dość krwi uniósł z sobą nurt Dniepru i Wołgi...
Jak często nad martwym płakaliśmy
[dzieckiem..

Bo wszystko miażdżyły, rechocąc, ich czołgi —
W stal lśniąca zakute błękity niemieckie!

Dziś ty wrogom niesiesz woń czadu, blask iskier,
O, nieulekniony nasz wicherze ze wschodu,
I wpijasz się ogniem, przebijasz pociskiem,
I idziesz wciąż naprzód wśród kurzu pochodów.

Ubierasz dziś niebo, doliny, bezdroża,
Jak drzewce sztandaru w blask gęsty szkarłatu.
Ten blask jego zaćmi złocistych zórz pożar —
Bo blask to krwi jasnej, przelanej przez katów.

Bo blask ten nad nami się dzisiaj roztoczył
Zwiastunem przedświtu, jutrzeńką pokoju.
Tym światłem poległych dziś jarzą się oczy,
To światło rozpala w żyjących żar boju.

Zna blask ten nasz żołnierz nad pluskiem Kubania,
Nad Donem wzburzonem, nad dumnym Kaukazem.
On ostrza bagnetów żołnierskich osłania —
Ten sztandar, co zawsze jest nam drogowskazem.

Wygląda go, wzrok wyteżając, partyzant
W ciemnościach puszczy briańskich, w połtawskich
[dolinach,
W szalasie chruścianym, w zdziczałych ruinach...

Kobieta nań czeka na pogorzelisku,
Ramiona podnosząc, jak płaczki dni starych;
Gdyż chce ujrzeć pierwsza w najpierwszym dnia
[błysku
Te w górę wzniesione najdroższe sztandary.

To one zmęczonych najtkliwiej osłonią,
Pociechę przynosząc w nieszczęścia godzinie;
I siły użyczą ich sercom, ich dłoniom,
I naszej szerniejszej od krwi Ukrainie.

Tych ludzi niezłomnych nic nigdy nie zmoże.
To dzieci wolnego, sławnego narodu.
To w was dziś swobody wpatrują się zorze!
I biorą cię w płuca, o wicherze ze wschodu.

1942

Tadeusz Chrościelewski

D R O G A

Za pułkiem pułk. Miarowy chrzęst metalu.
Frontowych dróg surowy, prosty ład —
Nad linią wierzb, nad taflą wód, pomału
Wyrasta wielki dym. To Stalingrad.

Przez dymne kłęby, żółty pył i spiekę,
Przez plusk wołzańskich, ocieźiałych fal
Już widzą ludzie bitwę niedaleką,
Już im złowrogim głosem huczy dal.

Wtem ciszę wód daleki huk poruszył.
W masywach skał, we wnętrzu ziemi drży.
Szeroko gra miarowy świst „katuszy”.
Pryskają w krąg wściekle odłamki min.

Nawała bomb. Rosnący ryk głębiny.
To sypie z chmur ulewa czarnych brył.
Za pułkiem pułk. Kurzawa mknie w równiny,
Dziewięćdziesiąty dzień nie spada pył.

Za pułkiem pułk potężną prze gromadą,
W przystaniach tłok, gryzący oczy dym,
By na ruinach świętych Stalingradu
Zwycięski opór stawić wrogom swym.

I będą odtąd błogosławić wieki
Ich przyjście tutaj, skrytych w szarej mgle,
Na stoki wzgórz ojczystej Wołgi-rzeki,
Na święty popiół starej ziemi swej.

Bo dotąd nikt w zwycięstwo tak nie wierzył,
Bo dotąd nikt nie wylał tyle krwi,
Jak ci narodów cisi bohaterzy,
Którzy na śmierć po wolność miasta szli.

1943

Marian Jurkowski

R A N E K

Ponad milczeniem zimnych, szarych domów
Wisi jak dźwięk deszcz rzadki, monotonny,
Deszcz jak zasłona falująca z lekka
Na zboczach głuchej ciszy rozpostarty.
Głosu i echa miasto wciąż się lęka,
Jeszcze nie wierzy, że powstało z martwych

Ta dziwna cisza niby powódź wzbiera,
Płynie wśród domów przez ulic doliny.
Do serca miasta ukradkiem dociera
Przeczucie wielkiej i dobrej nowiny.

Jeszcze przed uchem ludzkim utajony
Jej zew nie zabrzmiał dotąd żywym słowem
I nie rozwarły się piwnice, schrony,
Kryjówki żywych — sklepienia grobowe.

Jeszcze szaleństwo ludziom z oczu patrzy,
Strach je powleka jak śmiertelny całun,
Skute są jeszcze uściskiem rozpaczy
Matki i dzieci w czeluściach kanałów.

Kolbami cała izba potraskana,
Jeszcze się w niej unosi prochu zapach

I w niezakrzepłej krwi czernieje rana
Na czole starca, co padł z rąk żołdaka.
I wisi deszcz i dym bezgłośnym krzykiem
Nad wszystkim tym złowieszczym, strasznym,
[dzikim.

Taka jest owa brzemienna godzina,
Kiedy na łożu śmierci leży matka
I w twarz jej wbity wzrok uparty syna —
Chce zapamiętać ją do dni ostatka.

Przeminą lata, ale w oku na dnie
Przetrwa, przez grozę tej chwili wykute,
Jak kryształ jasne, ostre i dokładne
To wszystko, cośmy zobaczyli tutaj.

W pamięci każdy krok mieć będę wiecznie,
Gdy szliśmy rankiem — gromadka milcząca —
Przez puste place i parki nadrzeczne,
Przez całe miasto, do samego końca.

Przeszliśmy przez nie w ciszy i zadumie
Przez ból i deszcz, przez mgłę i przez wspomnienia.
Czerwony sztandar na spalonej Dumie
Nad placem gruzów wysoko płomieniał.

Kadłuby domów, rozsypiska cegły.
I stal pęknięta głucho pojękuje.
Świeże mogiły żołnierzy poległych
Pośród ziejących czarną pustką ruin.

Pasma cierpkiego gryzącego czadu
Wiją się w ciepłych jeszcze popieliskach.
Na piasku alej ogrodowych ślady —
Ciężko podkute niemieckie buciska.

Deszcz ciągle pada, już je zmył po części,
Ale nie nam, nie nam zapomnieć o tym,

O tej mordercy straszliwej pieczęci,
Śladach zwierzęcych, dzikich, ciężkostopych.
W milczeniu patrzę na cmentarz kamienic.
Bez słów, bez słów. Gniew zimny, niemy.

Wzmaga się deszcz. I kropel szum narasta,
Na śliski bruk padają wciąż obficie.
Powiało ciepłem. Lekki oddech miasta.
Powraca życie.

1945

Zygmunt Braude

PRZED POSĄGAMI
MICHAŁA ANIOŁA

1

Wybuchy skał i kamieni, magma, co gniewnie
[zawrzała,
Biały ogień marmuru, ryk dzikiego kamienia,
Ciężki oddech wulkanu, potężny poród ciała,
Mistrz tępą bryłę dłutem w mocny posąg
[przemienia.

Tak w odwiecznym wirze atomów myśli i formy
Wichrzyły się, wybuchały, pragnęły ciała i miary,
Pieniły się nad przepaściami wśród przeszkód
[niepokornych
I protuberancjami spadały w doły i jary.

Tak, przeczuwając prawdę, by dojść do istoty
[okrutnej,
Kuł on bezwolny kamień i druzgotał milczące bryły,
I rozwierając chaos, wyciągały się ręce rozkute
Z otchłani, gdzie się wulkanów lawy gwałtownie
[kłębiły.

Ryk swój wydarłszy ciszy, gigantyczny twórca
[statuj
Muskularny tors wyprostował i w przestwór
[wstąpił władczo,

I chciwymi rękami wyszarpnął z otchłani brzuchatej
Ten spław woli, te stwory, co niepokornie patrzą.

I zadźwięczał skroś wieczność w wąwozach
[marmurowych
Krzyk, jak życie zuchwały, krzyk bólów
[porodowych,
Krzyk odważnego ducha, krzyk twórczych cierpień,
[tęsknoty,
Różniący się od niebytu i od jego niemoły.

Ten, co porusza światy, rozbija atomów jądra,
Krzepnie w żądy doświadczeń i w odkryć woli
[mądrej,
Przekracza wszystkie granice, pracuje, miota się,
[walczy,
Pada znów, pnie się, milknie i krzyczy, coraz
[zuchwalszy.

2

W bryłach marmurowych wyrąbał kształty tytanów,
Co rwą się ku wyłomowi z mroku nieistnienia,
Obudzonych, pragnących, niedobrych,
[zagniewanych,
Zbuntowanych, godnych nosicieli ludzkiego imienia.

Z czołem jak łuk napiętym, z krzywym, złamanym
[nosem,
Z trójzębami wielkimi i wykręconym grzbietem —
Gdyby nie był ten mistrz kamieniarski tak prosty,
Tak bardzo ludzki, byłby jakimś bóstwem
[szlachetnym,

Bo poznał on do głębi ludzkich narodzin istotę,
Najgłębszą mękę i szczęście rękatego twórcy,
Bezlitosne pragnienie mózgu, głodną widzenia
[tęsknotę,
Poszukiwania bezkresne i myśl o dalekich celach.

1962

Włodzimierz Słobodnik

PIETA

Wszystko tu dla mnie obce — sklepień łuki,
Ogromem swoim druzgoczące ducha,
I organowych nawałnic rozhuki.
I mszy wystawność, nieczuła i głucha,
I czarodziejstwo witrażowej sztuki,
I grzeszny zapach, co z kadzielnic bucha,
I hipnotyczne rysunki mozaik,
I starte płyty w kamiennym dywanie,
I krzątania czarnych mniszych zgrajek,
Niczym ploszonych kawek przefruwanie.

Wszystko tu dla mnie obce, choć nienowe,
I w złotym szatrze, w którym pycha gości,
Nie ma nic, przed czym chciałbym schylić

[głowę —

Tylko słów próżnia i pozór świętości.
I raptem w małej kaplicowej niszy,
Gdzie kilka świec migota wśród pomroczy,
Jak czara jasnej zadumy i ciszy
Cudo niezmierne olśniło nam oczy.
Jak porzucone dziecko, samo jedno
Wśród tej wyniosłej i zimnej pustyni,
W zagadki bytu wnika myślą biedną,
Los wszystkich istot swoim losem czyni.

Niby gałązka palmy, kruche ciało —
Na jej kolanach leży syn jedyny.
Już w nim isierki życia nie zostało.
Już się nie dźwignie. Jest martwy i siny.
I matka patrzy w zamknięte powieki,
Zastygłe usta i bezsilne ręce,
I wszystko wie, i nic już nie chce więcej,
Tylko tak trwać z nim poprzez wszystkie wieki.
Nie huczna miedź, nie modłów puste brzmienie,
Lecz macierzyństwa niepożyte siły,
Nieustraszonosć, duma i cierpienie
Śmierć zniweczyły — życiem zniweczyły.

I pięć stuleci już ta matka włoska
Siedzi nad synem nieżywym, zboląa,
Kamieniem ani próchnem się nie stała,
Jest tak, jak zawsze, ludzka, a nie boska.
I może syna wniosła dziś dopiero
Przez portal, ciemną święący pozłotą.
Wciąż była z synem i nie mogła oto
Zasłonić go od kul karabinierów.
Krew swoją przelał w potyczce zażartej
Na rzymskim bruku, w cieniu rzymskich drzew.
Ta krew — to włoskich komunistów krew,
Takich jak Gramsci, takich jak Togliatti.
Umieją życie oddawać za życie
I kiedy padną, przygarnie ich ta,
Co im cel walki wskazuje niezbicie —
Italia. Nieśmiertelność. Pietà.

1962

Jerzy Jędrzejewicz

N A D M O R Z E M

Spójrz! Ziemia załamana nad wody obręczą
Powoli się obkrusza i tonie w tym złocie,
Gdzie fal wielograniastych gra muzyką dźwięczną
Blask morski, blask bezbrzeżny, bezkresny
[światłocień.
Oto wchodzi w wiersz bujnym i strwożonym szumem
Zagadek i obrazów, snów i przeczuć pościg...
Zagadkom nie ma końca, nie ma kresu dumom
I nie ma także ciszy w twojej samotności.
Tu jesteś ty i morze, tylko rytm i cienie,
Heksametr fali płynnej i ten brzeg przekorny —
A wszystko wokół krzyczy o swoim pragnieniu,
Pragnie się uzmysłować, szuka słów i formy.
Czekasz z napięciem, aby — jak w srebrną
[lagunę —
Wiersz wichrem niespodzianym wdarł się
[w twoją duszę.
Aby słowem potężnym nagle w ciebie runął,
Niosąc moce płonące, szarów wściekłą burzę.
Już nie zdołasz go wyrwać, gdy do ciebie
[przywarł —
Nie będzie żadną bronią wówczas przeciw niemu
Ani klątw i dowcipów cierpki, ostry wywar,
Ani jęki miłosne tajemnych haremów!

Tylko z podnieconego szeptania „Ekskuzy”
Domyśli się niekiedy zamyślony słuchacz,
Że to gniewne Erynie, a nie śpiewne Muzy
Miotają tobą tutaj w noc czarną i głuchą.
W noc samotną, nad morzem,

[które rwie okowy,
Nad szumem tych przepaści, nad czarną,
[topielą —
Jeśliś był takim właśnie, jak byłeś — surowym
I sługą, i zwiastunem ogromnego celu.

1956

Anatol Stern

Z POEMATU «MICKIEWICZ W ODESSIE»

S Y M F O N I A

W spowitej we mgłę orkiestrowej jamie
Słysząc szmer jakiś. A z niego wyskoczył,
Po chromatycznej szybko wspiał się gamie
Trelik klarnetu. Teraz już się tłoczy
Rozwiązujący z szyi mokre szale
Tłum perukarzy i tłum władców tonów,
Ludek, co wielbi operę i balet,
Pstrokata gawiedź geniuszów, histrionów,
Tłum zatracęńców i fortuny łowców,
Zgorzkniałych piewców, natchnionych
[pechowców,
Smutne pokłosie nieszczęścia i chwały,
Co się zebrało tu z Odessy całej.

Jakąż to drogą trafiłeś, Adamie,
Na targowisko, gdzie króluje poza?
Czyżbyś w tym tłoczonym, hałaśliwym kramie
Chciał się zapomnieć w dźwiękach wirtuoza?
Lecz ni samotność, ni tłum tu zebrany
Nic nie pomogą na twe świeże rany —
I pogardliwie milczysz, patrząc chmurnie,
Jak cię mijają te damy, ci durnie.
Nudne postacie, zawsze takie same...

Dwóch się schyliło właśnie nad programem:
„Coś ciekawego?”

„Nie sędzę, nie sędzę.
To nowy utwór wykona orkiestra
Jakiegoś Mikoły Kulikowskiego...”
„Symfonia? Znasz ją?”

„Tę symfonię? Skądże...
Nikt nie zna dzieła ani twórcy jego...
Już na myśl o tym czuję lekki przestрах.
Coś opętało widać dyrygenta:
Szuka objawień w domowych talentach...”

Zamigotały nad pulpitem złotem
Woskowe świece, chwieją się płomienie,
Aż pod sklepienie skoczył cień z trzepotem —
Urosł dyrygent niespokojnym cieniem,
Zda się, wśród cieni przeciągiem miotanych
Tonie ta sala i znów się wynurza,
I wali w drewniane, pobielone ściany
Deszcz niespokojny, oszalała burza,
Pachniało gliną, potem kalafonią,
Żółtych świec łojem i pomady wonią...

Uciec stąd, uciec i pójść bujnym stepem,
Iść gdzieś, gdzie nie ma żadnych ścian
[i sklepień,
By się nie dusić w tym kwaśnym zaduchu
Salonów, żartów w teatralnych łóżach,
Nie słyszeć plotek szeptanych do ucha,
Którymi żyje hołysz i wielmoża,
I potem krzyczeć, wołać na świat cały
Poprzez milczenie i wieczne gonitwy
O męce wiary, nadziei wytrwałej —
Krzyczeć i czekać na wieść jakąś z Litwy.
Choćby to były pieśni świtezianki
Lub oddech jezior, chłodny błękit nieba.

Choćby wspomnienie lub cień niespodzianki,
Której tak bardzo do życia mu trzeba.

Jakież przestrzenie legły między nimi —
Jakby toporem rozrąbało duszę!
Tylko słowami — skrzydłami prężnymi
Zdoła zwyciężyć dalekich dróg głąsę
I beznadziejne milczących pól skargi,
I wszystkie moce zajadłe i ciemne —
Jedna pieśń tylko, zrodzona nad Niemnem,
Może uśmierzy straszny spazm nostalgii,
Lecz, by przelecieć, ilu musi pętom
Granic się wydrzeć, rogatek i wieżyc,
Żeby się przedrzeć przez mroczną, zaklętą
Dal, którą serce tylko jedno zmierzy.
Ponad stacjami, karczmami głuchymi,
Ponad pustynią dziką kontynentu,
Przez świst zawiei i przez bagien dymy,
Przy jęku wichru, wrzasku konwojentów,
Poganiał ból swój i troskę przeklętą,
Aż obumarła gdzieś na antypodach,
W czarnozielony wir zapadła raptem,
I w niezgłębionych odbiła się wodach
Niespotykanym i przedziwnym haftem.

.
Dźwięk się urwał.

I czar szezł.

Czar się rozprysnął, zadrżał dzwoneczkami,
Zadźwięczał z dala, cicho jęknął, znika...
Dyrygent z wolną wyłazi z swej jamy,
Cicho szamoce się za nim muzyka.
Lecz to początek — to nie koniec zgoła;
Bo na samotność, co ciebie dręczyła,
Tyś w cudzym dziele leki znaleźć zdołał:
Siłę wspólnoty. To już będzie żyło —
Wraz z wiarą w lud. O przedziwna siło,

Którą poznałeś, wygnańcze, tak wcześniej,
Dla której nie masz zbyt wielkich poświęceń!
Przyjmujesz teraz prostotę tej pieśni,
Czule, z wdzięcznością, jak pomoc w udęcie.

Z lekka pijany muzyką, wspomnieniem,
Opuszczasz salę i oto wychodzisz
W noc rozdeszczoną, a przemokła odzież
Wstrząsa twoje ciało krótkim, częstym drżeniem
I wiatr gwałtownie szarpie płaszcz poły.
Patrzysz na chmury — ni gwiazdki na niebie.
Ktoś woła? Woła. Ten głos niewesoły...
Ty wiesz, kto woła i czeka na ciebie.
Wstają sonety, świadki-jasnowidze.
Słyszysz poeto?... Władcze słowo idzie!

1956

Anatol Stern

S P I S T R E Ś C I

<i>M y k o ł a B a ż a n</i>	5
Paproć	7
<i>Stanisław Jerzy Lec</i>	
Krew w jasyr wziętych	8
<i>Jarosław Iwaszkiewicz</i>	
Słowo o pułku	10
<i>Tadeusz Hollender</i>	
Rozmowa serc (fragment poematu)	12
<i>Seweryn Pollak</i>	
Katedra	15
<i>Jerzy Zagórski</i>	
Nocny rejs	13
<i>Józef Czechowicz</i>	
<i>Anatol Stern</i>	
Taniec	20
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Na ruinach w Kutaisi	22
<i>Leopold Lewin</i>	
Tancerka	24
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Przecucie burzy	26
<i>Jan Brzechwa</i>	
Wicher ze Wschodu	28
<i>Tadeusz Chróścielewski</i>	

Droga	31
<i>Marian Jurkowski</i>	
Ranek	32
<i>Zygmunt Braude</i>	
Przed pcsągami Michała Anioła	35
<i>Włodzimierz Słobodnik</i>	
Pietà	38
<i>Jerzy Jędrzejewicz</i>	
Z POEMATU «MICK'EWICZ W ODESSIE»	
Nad morzem	40
Symfonia	42
<i>Anatol Stern</i>	

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ
W TEJ SERII:

Tudor Arghezi — *Ex libris*
Mikołaj Asiejew — *Nadzieja*
Elizaweta Bagriana — *Poezje*
Simon Czikowani — *W cieniu gór*
Geworg Emin — *Wiersze*
Nazim Hikmet — *Liryki*
Ho Chi Minh — *Dziennik więzienny*
Gyula Illyés — *Poezje*
Begijn Jawuuchuan — *Wiersze*
Eugeniusz Jewtuszenko — *Wiersze*
Lajos Kassak — *Koń umiera*
Jan Kostra — *Ave Ewa*
Janka Kupała — *Dzień powszedni ubogi...*
Georgi Leonidze — *Samotne drzewo*
Włodzimierz Ługowskiej — *Pieśń o wicherze*
Mao Tse Tung — *Szesnaście wierszy*
Leonid Martynow — *Wiersze wybrane*
Salomea Neris — *Biała ścieżka*
Miodrag Pavlović — *Sobowtóry*
Maksym Ryłski — *Liryki*
Dawid Samojłow — *Natchnienie*
Jarosław Seifert — *Liryki*
Ilia Selwiński — *Polowanie na tygrysa*
Borys Słucki — *Pamięć*
Christo Smirneński — *Bracia Gawrosza*
Michał Swietłow — *Grenada*
Stiepan Szczypaczow — *Strofy miłosne*
Maksym Tank — *Na szlaku dzikich gęsi*
Aleksander Twardowski — *Wiersze*
Eugeniusz Winokurow — *Światło*
Andrzej Wozniesieński — *Antyświaty*

W PRZYGOTOWANIU:

W. Stevens — *Poezje*

Cena zł 10,—

Cena zł 10,—



267 62



64/158